Pierwszy Maja

Armia postępu.

W majowem słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione.

Idą tak dumni w blaskach słońca,
A w oczach zapał im się żarzy —
Od końca świata aż do końca
Przed nimi blednie zastęp wraży.

Idą wciąż dalej — moc ich rośnie —
Nic tych zuchwałych nie powstrzyma —
I hardy okrzyk brzmi rozgłośnie:
Dla śmiałych żadnych przeszkód niéma.

Dziwna to armia! Nie Cezary,
Ani Atylle w bój ich wiodą,
I nie królewskie ich sztandary,
Ni ksiądz święconą czcił je wodą.

Pod czerwonymi sztandarami
Idzie — o dziwo — wojsko nowe:
Własnej swej sprawie oni *sami*
Dali te godła — te bojowe.

Dziwna to armia! Rzekł Bicz boży.*)
Gdy szedł na Romy kwietnie błonie:
»Nie wzejdzie trawa ni kwiat hoży,
Gdy stąpią Hunnów moich konie«.

Gdzie hufce przejdą zaś *czerwone*,
Tam kwiat wyrasta wnet uroczy,
Niwy tam cudnie umajone:
Tam kwiat wolności nęci oczy.

O, dziwna armia — armia święta!
Ona nie idzie siać zniszczenie —
Lecz tępić chwasty, targać pęta
I płoszyć nocy groźne cienie, —

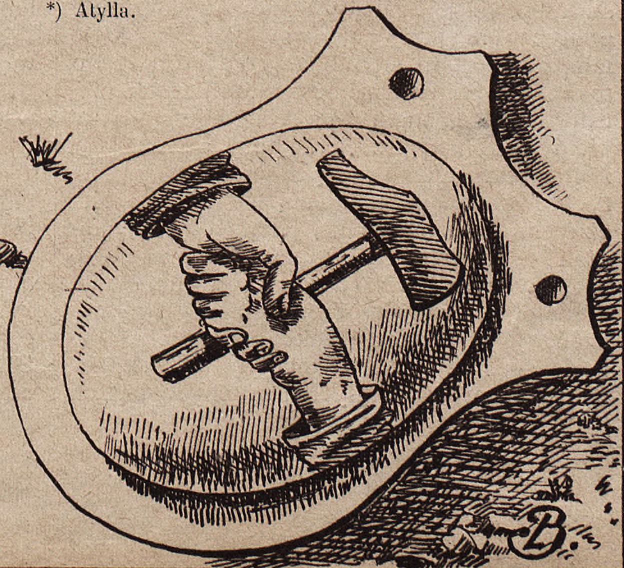
Armia postępu i swobody,
Co rzuca wieści nam radosne,
Zwiastuje przyszłe świata gody,
Po ciężkiej zimie — cudną wiosnę.

W majowem słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione!

F. P—l

*) Atylla.

1895



Program polityczny

stronnictwa socyalistycznego.



Minął ten czas, kiedy oddzielano sprawę społeczną od politycznej. W Niemczech, dzięki w znacznej części umysłowemu wpływowi Marxa, Engelsa, Lassalle'a, Liebknechta i licznych tłumaczy ich myśli, zawsze rozumiano ścisłą łączność jednej z drugą. Inaczej bywało we Francyi i w Belgii. Dzisiaj zaś w tych państwach stronnictwo socyalistyczne stało się jeszcze bardziej politycznem, aniżeli w Niemczech. Chwycono się w nich broni, której dotąd używano wyłącznie tylko w sprawach ekonomicznych: zmowy — dla wywalczania praw politycznych. Widzieliśmy to na wielką skalę w Belgii w walce o powszechne głosowanie; przygotowuje się coś podobnego i we Francyi na wypadek, gdyby większość parlamentu przyłożyła swą rękę do knowanego przez senat ograniczenia ustawy o syndykatach robotniczych.

I w samej rzeczy, jeżeli pewne zasady już na tyle się rozpowszechniły, że się sformowało nowe stronnictwo, jeżeli z pola walki teoretycznej przechodzi ono na pole działalności praktycznej, to musi przekonać się wkrótce, że rozdział pomiędzy sprawami społecznemi i politycznemi, trudny już w teoryi, staje się zgoła niemożliwy w zastosowaniu praktycznem. Ta trudność jest tak silna, że zmusza demokratów, chcących zachować starą wiarę społeczną, do wyrzekania się swych dawnych haseł i do opuszczania swego dawnego sztandaru. Zająwszy w kwestyi socyalnej środkowe miejsce — jak się wyraził niedawno jeden z waszych demokratycznych posłów — zmuszeni są oni zająć takież samo miejsce i w sprawach politycznych. I niepodobna bardzo się dziwić temu, że nie chcą oni powszechnego głosowania, które z pewnością pomnoży szeregi nowowierców. Z tegoż powodu francuscy radykałowie opuszczają jednę za drugą dawne swe pozycye polityczne, a socyaliści, zajmując te opuszczone pozycye, stają się we Francyi jedynymi prawdziwemi szermierzami wolności politycznej i równości praw obywatelskich.

Podobne zjawisko spostrzegamy i u nas: we wszystkich trzech zaborach. Jeżeli rozpatrzymy się w programach i działalności naszego stronnictwa demokratycznego, tak jak one się przejawiały, aż do ostatniego naszego powstania, to okaże się, że dzisiejsi socyaliści są więcej mu duchem pokrewni, aniżeli dzisiejsi demokraci. Nie mówię o Konarskich, Worcellach, Dembowskich, ale taki Heltman, taki Mierosławski, zwłaszcza z czasów 1848 r., nie znaleźliby ani posłuchu, ani poparcia pomiędzy dzisiejszemi demokratami.

To rozszerzanie i wypełnianie programu stronnictwa socyalistycznego w kierunku politycznym, jakie daje się widzieć wszędzie tam, gdzie stało się lub staje się stronnictwo to potęgą polityczną, jest naturalne, konieczne i wielce znamienne. Najbardziej zaślepieni zaczynają przecierać oczy i odczuwać, że nowe zasady zwyciężają i że gotuje się rychło ważna przemiana stosunków społecznych. Zawzięta walka, jaką socyaliści staczali w parlamencie francuskim przeciwko tak zwanym zbrodniczym ustawom, które ograniczyły wolność prasy i zgromadzeń, i przeciwko reakcyi uosobionej w Perier'ze, roznieciło sympatyę dla socyalizmu nawet w odległych i głuchych kątach Francyi. A kiedy Perier, zrzekłszy się dostojeństwa prezydenta, uciekł z pola walki, z uciśnionej piersi narodu wyrwał się mimowolny, radośny i niemal powszechny okrzyk: Socyaliści przecież zwyciężyli!

Stronnictwo, które zdobywa w narodzie to przekonanie, że bronione przezeń zasady i interesy odpowiadają istotnym potrzebom całego narodu, wyjąwszy względnie małą tylko część onego, staje się stronnictwem prawdziwie narodowem — rzec nawet można — jedynie narodowem. Zwycięstwo jego jest tylko kwestyą czasu.

Dla każdego narodu niepodległość jest pierwszym warunkiem normalnego rozwoju, ale konieczność onej odczuwa się gwałtownie zwłaszcza przez te narody, które noszą w swych piersiach wyższy ideał społeczno-politycznego ustroju. Najczulszem więc musi być to stronnictwo, ideałem którego Rzeczpospolita, w której niema miejsca dla wyzysku i krzywdy, w której staje się niemożliwą klasa próżniacza, a jednak przemożna, a za to dla każdej rzetelnej i uczciwej pracy otwiera się szerokie pole, w której wolność i równość przestają być czczemi wyrazami, i w której nie przy stole bankietowym, nie przy puharach z winem, ale w znoju życia codziennego rozbrzmiewa nasze staropolskie: kochajmy się!

Niepodległość narodowa jest dla stronnictwa socyalistycznego gwałtowniejszą po trzebą, aniżeli dla innych stronnictw. Wydziedziczonym, wyzyskiwanym, gnębionym i upokarzanym milionom może ona słowami genialnego wieszcza powiedziec:

Dla was Ja i Ojczyzna to jedno!

Bolesław Limanowski.



I tak często bywa.

Opowiadanie majowe.

— No, cóż myślicie — towarzysze, 1. maja święcujemy, nieprawdaż? — zawołał Staszek, młody robotnik, wchodząc do warstatu ślusarskiego, gdzie już wszyscy czeladnicy byli zebrani i z niecierpliwością oczekiwali pojawienia się p. majstra Moczymordy, by im zapłacił ich tygodniowy zarobek. P. Moczymorda obchodził uroczyście koniec tygodnia i po wczorajszej pijatyce jeszcze w najlepsze chrapał.

Słowa Staszka przerwały toczącą się rozmowę i wszyscy zwrócili oczy na niego. Wszystko tam w tych kilkunastu źrenicach można było wyczytać: i sympatyę i chytrość i szyderstwo i lekceważenie. Staszek był najmłodszym w warstacie. Czas jakiś trwało milczenie, po którem wszyscy jakby na komendę odrazu zaczęli mówić.

— My i tak mało zarabiamy, że zaledwie człek wyżyć zdoła. Już i bez tego tyle świąt w roku obchodzimy; po co nam ni z tego, ni z owego porzucać pracę w jakimś dniu powszednim, niewiedzieć, dlaczego i na co?

— Jabym przeciw świętowaniu nic nie miał, świętować lubię, ale wtedy, kiedy mnie się podoba, a nie na czyjąś komendę — mówił drugi.

— O, nasz Staszek to zawsze coś nowego ze zgromadzenia przyniesie, mówił inny.

Staszek się uśmiechnął, obu łokciami wsparł się na warstat i z spokojną uwagą wpatrywał się w otaczających.

— Tak jest — zaczął powoli — ja zawsze coś nowego przynoszę ze zgromadzenia i mocno żałuję, że was tam nigdy spotkać nie mogę, a szkoda, bo wiele ciekawych rzeczy dowiedzielibyście się, zrozumielibyście np., dlaczego robotnicy, a więc my obchodzić mamy uroczystość 1. maja. Samo święto jest nowe, to prawda, lecz czyż wam stara bieda tak smakuje, że wszystko, co nowe, już się wam z góry nie podoba? Cały rok, ilekroć któremu z nas krzywda się stanie, narzeka po kątach, zaciska pięście i zgrzyta bezsilny zębami, a krzywdziciel śmieje się i drwi z takiego kiwania palcem w bucie — czy nieprawda p. Ciemięgo — zapytał Staszek zwróciwszy się do starszego czeladnika.

„Ale jest jeden dzień w roku, kiedy skargi i żale nasze nie wywołują drwin, lecz blady strach na twarzach wyzyskiwaczy, jest jeden dzień, kiedy panowie pilniej i uważniej przysłuchiwać się muszą wołaniom ludu pracującego, a tym dniem jest zbliżający się 1. maja. To jest coś na kształt dnia sądnego dla tych, co żyją z pracy cudzej i tuczą się krzywdą słabszego. Nie tylko w naszem mieście, nie tylko w całym kraju, ale na całym świecie, jak długi i szeroki, robotnicy świętowaniem w dniu tym okazują, że dążą przez zbratanie wszystkich ludzi pracujących do zaprowadzenia lepszego ładu na świecie.

„W dniu tym, co roku odbywa się przegląd sił tej wielkiej armii robotniczej, co się międzynarodową socyalną demokracyą nazywa, aby dowiedzieć się, ilu nowych bojowników zaciągnęło się pod czerwony sztandar, a ilu śpi jeszcze gnuśnym snem obojętności na wszystko, co się pod ich nosem dzieje. I oto liczba wyznawców nowej ewangelii wzmaga się ciągle, wolność, równość i braterstwo coraz szerzej i głośniej rozbrzmiewa i staje się hasłem wszystkich tych szlachetnych i uczciwych ludzi, którzy nie chcą wybijać pokłonów złotemu cielcowi. Poznamy wprawdzie w tym dniu, jak nam daleko do urzeczywistnienia tych wzniosłych ideałów, ale to nie zachwieje w nas otuchy, nie napełni zniechęceniem, lecz owszem zagrzeje do działalności zarówno gorączkowej, jak wytrwałej, aby przyspieszyć przyjście Wielkiego Dnia Wyzwolenia Ludu Roboczego".

Staszek mówił płynnie i z zapałem, jak zresztą mówi każdy uświadomiony robotnik o majowej manifestacyi.—I wobec tego wszystkiego — ciągnął po krótkiej przerwie dalej — my mielibyśmy wtedy stukać i dzwonić młotem, kiedy cicho i pusto będzie we wszystkich fabrykach na całej kuli ziemskiej, mielibyśmy tę uroczystą ciszę przerwać? Nie! Zanadto dobre wyobrażenie mam o was, abym mógł myśleć, że wśród nas znajdują się tacy nędznicy.

Tu musiał się wstrzymać widząc, że go za daleko porywa uczucie.

— No, no nie potrzebujesz się tak bardzo irytować — rzekł Mitręga, flegmatyczny człeczyna w średnim wieku — my wszyscy tak samo myślimy, jak i ty, ale pracy w tym dniu porzucić nie możemy; zresztą i bez nas tam się jakoś obejdzie.

— Obejdzie się, powiadacie? — zawołał z ironią Staszek — a znacie wy anegdotkę o rabinie, któremu żydzi na imieniny zamiast beczki wina, zlali beczkę wody; takie zachowanie się z naszej strony zakrawałoby zupełnie na coś podobnego. Gdyby tak każdy powiedział, jak wy, to wszyscy zostaliby w warstatach i na wstyd i hańbę robotnicy w naszem mieście pracowaliby jak bydlęta robocze, stając w przeciwieństwie do robotników całego świata, w których obudziło się poczucie ludzkiej godności i interesu klasowego.

— Staszek ma słuszność — zawołał Laskowski, który od początku spoglądał przyjaźnie i potakiwał każdemu słowu Staszka. — Pierwszego maja idziemy wszyscy rano na zgromadzenie, a po południu na wycieczkę do Zielonowa; w warstacie niech pracuje p. Moczymorda, jeśli zechce, z nas żaden nie dotknie młota, wyjątkami być nie chcemy!

— A jużci, że nie — zawołali inni chórem, w którym nie brakło już ani głosu Mitręgi, ani Ciemięgi.

W tej chwili wszedł chwiejnym krokiem p. majster Moczymorda we własnej osobie, ziewnął parę razy, przetarł kilkakroć nabrzękłe oczy i dobył zatłuszczonego pugilaresu, by rozpocząć wypłatę.

* * *

Nadszedł dzień 1. maja. P. Moczymorda chodzi po warstacie swoim, rwie ze złości sumiaste wąsy i strasznemi słowami wyrzeka na niewdzięczność, lenistwo i bezbożność tych buntowników, co dzisiaj nie przyszli do roboty. Lecz nie monolog to prowadzi p. majster, w kącie stoi czeladnik Wyzuwicki i pobożnie wsłuchuje się w słowa swego pryncypała.

W znanej nam niedzielnej dyskusyi Wyzuwicki wcale nie zabierał głosu. To człowiek spokojny, nie mieszający się do niczego, który lubi nie myśleć o niczem nie myśleć, a słuchać tylko, co mu przełożony każe, przytem jako członek stowarzyszeń kościelnych »Róża« i »Perła mądrości« uczęszcza na kazania OO. Jezuitów.

Od nich dowiedział się, że to właśnie socyaliści t. j. ludzie najgorsi, jakich kiedykolwiek ziemia święta nosiła, urządzają w grzesznych i przewrotnych celach demonstracye 1. maja — i dla tego został dziś w warstacie. Zresztą i p. majster nie uwolnił go w tym dniu od pracy. To też obecnie podziela w zupełności oburzenie p. majstra, którego najbardziej to gniewa, że oddalić wszystkich za karę nie może, bo straciłby zdolnych ludzi i nie wydołałby licznym zamówieniom. Rzucał się p. majster, skakał, pienił się, lecz nie mogąc się zemścić, potoczył się wkrótce do pobliskiego szyneczku, aby zalać złość i poskarżyć się na lenistwo i niewdzięczność swoich ludzi przed p. Łapikwart, majstrem stolarskim, którego spodziewał się tam znaleść.

Wyzuwicki został sam. Przyzwyczajony codzień rano brać się do pracy wraz z towarzyszami, dziś osamotniony — bo i terminatorzy gdzieś się ulotnili — stanął przy ścianie, skąd roztaczał się widok na ulicę i popadł w zadumę. Po ulicy snują się małe grupy robotników, wszyscy odświętnie odziani, na twarzach ich radość a w oczach otucha i nadzieja jakaś dziwna, nieokreślona. Idą, gwarząc lub nucąc z cicha. Miasto przybiera fizyognomię niedzielną. A Wyzuwicki stoi i patrzy i choć tak nie lubi wszelkiego myślenia, musi myśleć i myśli same tłoczą się do głowy.

Czemu oni tak dzisiaj wszyscy weseli, czego się spodziewają, czego chcą. Ksiądz jezuita żadnego święta nie zapowiadał, a tu tyle ludzi nie pracuje, jak w uroczyste święto.

I przyszły mu na myśl słowa Staszka i zaczął każde z nich rozbierać, rozważać, porównywać ze słyszanem w kościele i — o dziwo — nie mógł dopatrzeć w żadnem słowie, ani cienia zdrożności, bezbożności lub czegoś podobnego. Kto tu ma słuszność, czy Staszek, jego towarzysz pracy, na którego uczciwe postępowanie codzień patrzy i którego zna jako uczynnego i serdecznego chłopaka, czy też ten tajemniczy jezuita Szwarc, który piorunuje na socyalistów z ambony, a którego czynności poza kościołem on kontrolować nie może.

W tej chwili przeszła większa grupa robotników ulicą i jakiś ciekawszy zaglądnął przez szybę u drzwi do warstatu p. Moczymordy. Wyzuwicki mimowolnie cofnął się i przykucnął, aby nie być widzianym. Gdy obcy odszedł, Wyzuwicki wyszedł na środek warstatu i uśmiechnąwszy się, zapytał sam siebie, dlaczego chciał się ukryć przed obcym wzrokiem. Przecież niczego złego nie czyni, czegoż miałby się wstydzić, przyszedł do warstatu, jak w każdy dzień powszedni. Lecz w tej chwili usłyszał jakiś głos wewnętrzny z głębi serca: To nie jest dzień powszedni, to jest wielkie święto robotnicze, to jest uroczystość, której w całym roku nie ma równej, a ty pracując dziś, powinieneś się wstydzić. Czyż ty chcesz być nędznym wyrzutkiem z grona towarzyszy, czyż ci wstyd nie pali czoła, że kiedy bracia twoi wołają do możnych tego świata: „dajcie nam, nasze prawa, dajcie nam byt godny człowieka“! ty swojem zachowaniem się potwierdzasz zdanie wrogów ludu roboczego, którzy powiadają, że robotnicy są zadowoleni i szczęśliwi.

Wyzuwicki gwałtem chciał się opędzić od tych myśli, jak od much dokuczliwych i sam nie wiedząc, co robi, pochwycił za młot. W tej chwili uderzyły w jego uszy potężne dźwięki marszu majowego:

Dziś nikt nas do pracy nie zmusi
Bo dzień ten przez lud jest obrany,
By poczuł, by poznał swą godność człowieczą,
By zerwał. by . . . .

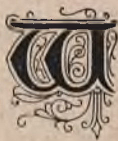
To demonstrujący robotnicy przeciągali z pieśnią na ustach przez miasto. Wyzuwicki nie wytrzymał. Cisnął młot o ziemię, [illegible] dnej c[illegible] się zatrzasnął drzwi warstatu i w [illegible] znalazł się wśród demonstrantów.

Józek.



Pierwszy Kwietnia a Pierwszy Maja.

Szkic.



W chwili, kiedy zima ostatnie siły wytęża, aby świat zatrzymać w swym lodowatym uścisku, kiedy zawiera przymierze z najsroższymi z surowych wichrów wschodu i północy, aby zmrozić i zniszczyć wszelki zadatek wiosny w przyrodzie, w takiej to chwili dnia 1. kwietnia 1815 r. urodził się jako syn zadłużonego szlachcica pomorskiego — człowiek — którego przeznaczenie było, być jednym z ostatnich wielkich bojowników za ciemnotę i niewolę ludów i za panowanie reakcyi. Ten potężny bojownik — to żelazne bożyszcze dzisiejszych oficyalnych Niemiec, to... książę Bismark.

Czy zaprawdę nie dziwny to palec losu, nie dziwny a mimowolny, ale niemniej gryzący dowcip historyi? Oto w chwili..., kiedy złoty promień wiosenny swobody, począwszy od rewolucyi francuskiej, w szeregu ruchów ludowych — topił lody nagromadzone przez możnych, kiedy jutrzenka wolności zdawała się być bliską, Boreasz pruskiej północy, Bismark, dnie marcowe uroczej wiosny 1848 r. zamienił w kwietniowe mrozy i śniegi reakcyi i niemi jak całunem przykrył Europę. Ale tak, jak śniegi kwietniowe giną w cieple wiosennych podmuchów, tak dziś całun wstecznictwa bismarkowskiego pęka w kawały, a m a j o w e słońce wolności ludów przenikać poczyna najodleglejsze zakątki.

Skądżeż jednak ten człowiek zaczerpnął siłę taką, kto mu dał moc ową piekielną, która mu pozwoliła na tak długo milionom ludów nałożyć obroże na szyje i prowadzić na smyczy niby swe psy kanclerskie? Wszak ludy były silniejsze niż on, a idea wolności i równości demokratycznej mocniejszą i moralniejszą niż samowładztwo. Tak, lud jest silniejszym, ale lud świadomy praw swoich i świadom tego, że bez wolności życie społeczne, to jad i trucizna. Niewolnik zaś, nie odczuwający swojego upokorzenia, jest tą ciemną potęgą, której i każdy mający moc ducha i siłę pięści użyć dla swych celów potrafi. A im większy tłum t a k i c h niewolników, tem potężniejsi są ich panowie — Bismarki. I oto tajemnica rządów, polityki, dyplomacyi i powodzenia Bismarka. Instynkt krzyżacki średniowiecznego rycerskiego rabusia szepnął mu ową zdrową, realną myśl, że brutalna kanciasta pięść ciemnego żołdaka z łatwością roztrzaska i najmędrszą i najmoralniejszą czaszkę filozofa, że *„siła jest przed prawem“*. Rozum i obserwacya bystra pokazywała mu miliony ciemnego ludu, który wytresowany dobrze, w takt bębna i trąbki będzie mordował i wyrzynał w pień co mu każą i jak mu każą.

Kanta*) nie czytał, ani o jego teoretyczne wnikanie w niemiecką służalczą naturę (deutsche Bedientennatur) nie dbał, ale za to znał ją na wylot ze swoich praktycznych junkrowskich doświadczeń i umiał jej zażyć. Metoda jego była więc prostą i jasną.

»Wymustrowane pruskie bataliony to siła, nią złamię wszystkie przeszkody stawiane w imię baśni mamek filisterskich o wolności, prawach przyrodzonych i kulturze.« Był zaś na tyle otwartym i pewnym siebie, że mazyćielom mieszczańskim rzucił bezczelnie prawdę ową w oczy, a kiedy objął w 70 latach przewodnictwo ministeryum pruskiego, umiał »zasady bez zasad«, jak sam dumnie o swoich przekonaniach mówił, zamienić w czyn. Zdeptał więc nogami w czasach głośnego sporu między postępowcami a królem, zagwarantowane niegdyś przez koronę prawa, a na wszelkie protesty odpowiadał wymownym gestem, wskazującym na las bagnetów żołdackich. Ale dla natury o tak chciwej osobistej władzy za mało było Prus, on postanowił świat cały uczynić pruskim, chciał, aby wszyscy karki ugięli pod jego kirasyerskim butem, i aby przed pikelhaubą pruską kłaniano się, jak niegdyś w Szwajcaryi przed kapeluszem Gesslera.

I naprzód na współkę z Austryą napadł na malutką Danię i w r. 1864 urwał jej kawał czysto duńskiego kraju, potem jednak, aby ów Szlezwig Holsztyn zagarnąć wyłącznie dla Prus i pozbyć się [illegible] niemie[illegible] przeAustryi rywalizującej co do siły w Związckim, wypowiedział jej wojnę w chwili, gdy walczyła z Włochami i zgniótł ją na polach Sadowy w r. 1866. Austrya przez to nazawsze opuściła Związek (Bund) i politykę wielkoniemiecką i zmuszoną została jąć się polityki równouprawnienia narodów u siebie. Sprusaczeniu Niemiec — bo to było celem dalszym »zjednoczenia« — stał jedynie na przeszkodzie przemożny wpływ Francyi i Napoleona III. Małego. Wprawdzie już przedtem »zjednoczył« Hanower z Prusami zdarłszy, mimo całego swego monarchizmu, bez ceremonii koronę z głowy następcy króla hanowerskiego, ale teraz miało nastąpić zjednoczenie w większym stylu.

Wojna z Francyą była więc dla niego konieczną, a on przyspieszył ją sfałszowaniem sławnej emskiej depeszy Wilhelma I. Francyę zwyciężył, upokorzył, pozbawił ją dwóch najpiękniejszych prowincyi i na gruzach wpływów francuskich krwią, błotem moralnem i żelazem sklepił i skuł jedność niemiecko-pruską. Cel swój osiągnął. Zapewnił sobie rządy niepodzielne w Prusiech — Prusakom dyktaturę w Niemczech — Niemcom pierwszeństwo w Europie. Sam został pierwszym kanclerzem Niemiec „i bał się teraz tylko Boga....“

Z „bożą“ pomocą począł robić w Niemczech wewnętrzny »porządek«. Powszechne prawo głosowania, dopuściwszy ciemne masy do urn wyborczych, miało zniszczyć wpływ polityczny mniej licznej wrogiej burżuazyi. Polacy, Duńczycy i Francuzi powinni być za wszelką cenę zniemczeni, a katolików musi się napoić duchem protestanckim. I rozpoczął się według powyższej melodyi wściekły ów taniec, który Niemcy do dziś po bezdrożach prowadzi.

Nakoniec przyszła kolej na socyalistów... Dopóki się w latach 70-tych jemu zdawało, że tak zwanych lassalleańczyków zdoła przykuć do swego rydwanu i w ten sposób osłabić liberałów, dopóty socyalistom nie stawiał w agitacyi wybitnych przeszkód. Po wojnie jednak 1871, jak zmiarkował, że wpływ ich rośe poczyna i to dzięki powszechnemu głosowaniu — wnet począł doświadczać swej siły. Więzienia i kary posypały się jak z rogu obfitości. Ale jemu tego było za mało. Za pomocą, przez uchwałę parlamentarną wydanej w r. 1878 ustawy wyjątkowej przez lat 12 pastwił się bezlitośnie nad każdym, który uchodził za socyalistę. I oto stanął u szczytu swojej potęgi. Półbożek klas rządzących w Niemczech, głowa i ręka cesarza, trząsł Prusami, Niemcami i światem. Wrogowie jego zewnętrzni i wewnętrzni zgnieceni, upokorzeni, bezsilni... Siła brutalna stała się dogmatem, w którą wierzyli wszyscy i bili pokłony... Bagnet i działo i karabin ulepszony uznane za jedyne dobytki kultury. I każdy kraik, bodgaj jak mały, tworzył sobie swoich Bismarczków i pomnażał panowanie bagnetów. I zaroił się świat cały od Crispich, Stambułowów i Christiczów serbskich, a nawet i nas, o wstydzie!... los nie ominął. Wszędzie, wszędzie znaleźli się ludzie, którzy potęgę swą budowali na ciemnocie i na bagnetach.

I Bismark b y ł wielkim. Był, bo dziś... dziś jest inaczej. Dziś wydarto mu władzę z dłoni, pozbawiono go możności panowania. A wydarła mu władzę siła, którą on w swoim interesie starał się wzmacniać, wydarła mu władzę monarchia... Wnuk Wilhelma I. wypędził rządcę domu swego dziada... Ów wszechmocny świata pan, dziś bezsilnym, złamanym starcem. A świat... świat idzie tą drogą, jaką poszedłby dawno bez niego.

Socyaliści wolni od ustaw wyjątkowych, rosną w siły i drwią z wszelkich gróźb jego dawnej straży przybocznej. Znienawidzone centrum katolickie prym wiedzie w jego parlamencie. Uciskane i gwałcone zaś narody nie niemczą się wcale.

A gdzieindziej? Gdzieindziej! Oto Stambułów runął w Bułgaryi, nędzna karykatura panamska Bismarka, Perier, opuścił trwożnie stanowisko, Crispiego i Christicza zaś dni policzone. Obraz ten sam.

*) Najsławniejszy niemiecki filozof.

I oto kiedy w 80-letnią rocznicę, dnia 1-go kwietnia wszyscy wielbiciele przemocy, którym jego polityka niosła kęsy tłuste i pożywne — składali mu krzykliwe życzenia — to »jego« parlament odważył się nie przynieść jemu ni życzeń, ni darów. Co więcej, ten parlament, aczkolwiek sam obdarzony „oburzeniem“ cesarza, żyje sobie dalej spokojny — pewny, że go nie odeszlą do ludu niemieckiego, bo lud za nim stoi. Bismark dziś po przez wszystkie dymy oficyalnych kadzideł, po przez wszystkie wrzaski tem głośniej krzyczącej, im mniej licznej wiernych garści, widzi rozpadającą się w gruzy swoją świątynię siły pruskiej i słyszy już zbliżające się kroki zwycięskiej demokracyi.

Pierwszego kwietnia stanęło przed nim potężne widmo święta majowego — widmo socyalizmu. »Tyle serc bije miłością dla książęcej mości« — szeptał mu niedawno pochlebca. — »A tyle nienawiścią« — dodał żelazny.

Tak, nienawiścią bije dlań serce ludu, ale nienawiść ta to nie chwilowy wybryk fantazyi, to nie ów kaprys tłumu jerozolimskiego, który wołał dziś: »Króluj nam«, a jutro »Ukrzyżowaj go«, nie, to wyraz głębokiego pragnienia wolności i sprawiedliwości w życiu społeczeństw. A owo tak żywe i tak potężne pragnienie, które dziś przeniknęło całą świadomość klasy roboczej, pragnienie wolności, to rękojmia, że Bismark jest ostatniem z owych wielkich ogniw, które, począwszy od Ludwika XIV, tworzyły łańcuch zakuwający w niewolę ludy... Pragnienie demokracyi zupełnej uczynienia wszelkich duchowych i cielesnych zdobyczy kultury, wszelkiej nauki, sztuki i uciechy własnością narodu. To socyalizm...

Wyrazem tego dążenia Pierwszy Maja. A chociaż w dniach marcowych w r. 1848 wiosnę wolności ludów zmrożono na lat dziesiątki, to przecież wiosny nie zniszczono. Wiosna przychodzi, a wita ją wstające majestatycznie z puchowego łoża przejrzystych obłoków słońce i wita ją las dłoni czarnych, spracowanych, wyciągniętych ku Niej, ku Potężnej... A po wiośnie, później tem lepsze i urodziwsze lato czeka ludzkość.

K. Mołłowski.

Rewolucya?..

Hej! wszyscy bądźmy rewolucyoniści,
A wszyscy będziemy ludzie!

K. Brzozowski.

Przywykliśmy przywiązywać do słowa »rewolucya« wyobrażenie rzezi, mordu i krwi rozlewu... a nie myślimy wcale o tem, że rewolucya znaczy właściwie przeobrażenie, zmiana stosunków, że nastąpić ona może pokojowo i nie kosztować ani jednej łzy... Nie o niej wszakże myślą przeciwnicy nasi, nazywając nas »partyą rewolucyjną« — na ich ustach znaczy to tyle, co: zbóje, burzyciele porządku.

A jednak rewolucyę w prawdziwem znaczeniu tego słowa, tj. przemianę sprowadzają i sprowadzały wszystkie stronnictwa i partye, każda myśl gorętsza i każdy wysiłek pracy...

W dziejach ludzkości snują się nieprzerwanie prawie jak dwie nici czerwone — dwa pasma rewolucyj. Jedno krwawe — to przewroty okupione łzami, niedolą i wolnością milionów, mają coś z chytrych i fałszywych ruchów węża — nie wolno nazywać ich po imieniu, — książki — z wyjątkiem socyalistycznych — nie widzą w nich nic rewolucyjnego. Drugi równoległy szereg rewolucyj cechuje przedewszystkiem dążenie do sprawiedliwości. Najstraszniejsze ich wybuchy nie przelały tyle krwi, nie złamały tyle istnień, co najłagodniejsze przewroty »od góry«.

Znane bunty chłopskie nie dorównują srogością rewolucyjnym następstwom np. jednej udoskonalonej maszyny, która oszczędzając ludzką pracę, rozszerza się szybko po tysiącach fabryk i wyrzuca na bruk miliony ludzi. Na nic ich chęć i zdolność do pracy, na nic usiłowania, prośby, uczciwość... w brudnych, odległych zaułkach, w rozpaczliwej bezsilności patrzą na śmierć dzieci, na głodowe męczarnie żony i na własny upadek. Ta rewolucya, która wzbogaca kilku wyzyskiwaczy, zabija chyłkiem, cichaczem miliony ludzi, szerzy śmierć i zwyrodnienie, szerzy materyalną nędzę i moralny upadek — a jednak nikt nie przyznaje, że jest ona rewolucyą.

Równolegle z nią bieży — jak w ciągu ludzkich dziejów, tak i teraz — inna rewolucya — nie żąda ona ani ofiar, ani krwi, na płomiennym swoim sztandarze wypisała szczytne hasła: wolność — równość — braterstwo. „Będziemy wspólnie pracowali i wspólnym będzie pracy plon“ — głoszą słowa jej „zakazanej“ pieśni. W jej szeregach stoją ludzie zahartowani w pracy, silni doświadczeniem, wielcy poczuciem jedności i misyą, jaką spełnić mają. A jakże obcymi im krwiożercze instynkta i chęć urządzania gwałtownych przewrotów! Mają siłę niezrównaną, mają pewność zwycięstwa, mają milionowe szeregi, a jednak nie urządzają mordów ani rzezi. Z imponującą godnością dopominają się praw swoich, armia ich rośnie, pokrywa wszystkie kraje, wszystkie części świata, walczy, ciągle walczy — ale bez krwi przelewu.

Piękny, jasny dzień majowy obrali sobie za święto braterstwa i pracy. Dzień to walnej bitwy dla nich — czy krew się w dniu tym leje? czy płoną dobytki ich wrogów?

Nie! tysiączne zastępy ludu porzucają jeno codzienną pracę, wstają jak olbrzym milionowy, po to, żeby naradzić się, pokrzepić wzajemnie, dodać zapału i otuchy, żeby widokiem swojej siły i jedności przerazić tych „u góry“ i przypomnieć im: *dajcie nam praw naszych, dajcie póki czas!*

Ośmiogodzinny dzień pracy i powszechne, równe i bezpośrednie głosowanie — oto najbliższe na teraz żądania „przewrotowców“, rewolucyonistów, „nieprzyjaciół porządku“....

Helena Rawska.

Pierwszy Maja w fabryce.

Duszno i skwarno w fabryce, młoty raz wraz padają w rozognione żelaza; piły parowe tną w innej stronie sztaby stalowe — a przeraźliwy zgrzyt pilników muzyki tej dopełnia. Wpółcieniu snują się postacie robotników. Obnażone ich ramiona, od sadzy zczerniałe twarze potem zlane. Od czasu do czasu cichy szept przelatuje szeregi pracujących. Jakby różczką czarodziejską dotknięci, patrzą na siebie tęsknem okiem — tam ich dusza się rwie po za te szyby, po za te mury — tam do braci, co zeszli się w uroczystej chwili sprawę zdać z czynności całorocznych. Tam tysiące roboczego ludu stanęło dziś razem — pocieszyć się widokiem ogromu swojego, nabrać otuchy do walki dalszej, do tej strasznej, żmudnej walki o dobro i byt — które przecież bez walki mieć by się godziło. Tam rankiem się naradzali, potem swobody użyli — a teraz się bawią razem — weseli, że swój dzień święcą.

A tu w fabryce kują dalej młoty jękliwym jakoś dziś głosem — i piły żelazne warczą niechętnie — i ogień na ogniwach jakiś bledszy i ludzie jakoś nie weseli i powietrze nawet jakieś nie swoje.

A dlaczegoż oni nie poszli? Czy odwagi im brakło? Czy siły skupienia nie mieli?

Sami nie wiedzą co rzec mają.

Ilekroć szept cichy sunie między nimi, tyle razy skarga w nim zawarta, skarga na kogo? Chyba na siebie samych? Ustalenie bytu im zapowiedziano, karą zagrożono nieobecność w tym dniu — a że oni nie wszyscy jednego ducha, że nie skupili się w szeregu jako jedna drużyna robotnicza, więc musieli wszyscy przyjść — bo tylko wszyscy razem coś zrobić mogą. Darmo jedni wołali: „Tylko żądania robotników, tylko ich napieranie zmusiło naszych kacyków do przyrzeczeń, że nam dolę poprawią, że nam byt ustalą. Gdyby nie działalność partyi robotniczej, dalejby nas gnębiono, dręczono — tej działalności zawdzięczamy, że nam ustępstwa czynią. Róbmy dalej z tym ogółem naszych braci — a i im i sobie byt zapewnimy.“ Próżne napomnienia! Za fałszywymi mistrzami idą inni. Ci mistrzowie uczą, że „pokorne cielę dwie matki ssie“ — więc w pokorze dziękując za łaski pańskie, pragnąc ssać dwie matki — cielętami zostają. Oni wierzą, że panowie z dobrej woli wszystko dali, że postąpili „szlachetnie“, więc z wdzięczności pracą chcą zasłużyć na łaskę. Ze tysiące innych w złej doli, że miliony bez prawa żyją, że moc niezliczona bez pracy a oni za wiele jej na siebie biorą — to im nie weszło na myśl. Aż dzisiaj tęsknota jakaś umysł ogarnia, żal serce ściska, z pochylonem czołem posuwają się bezduszni prawie przy pracy — czują się niewolnikami własnego tchórzowstwa, własnej niezgody, własnego bezmyślnego sobkowstwa. Ulegli, i zgnębieni czują dziś straszny pogrom swój — czują kajdany — jakie sami na siebie włożyli.

A kiedy wieczorem idą ku domowi, kryją twarz pełną wstydu, bo panowie z dumą stanęli u wejścia i w rozmowie swojej chwalą „poczciwych swoich robotników, co się nie łączą z buntatorami“. A pochwała ta rozognia jeszcze bardziej ranę i wyrzuty sumienia — i czują oni zdradę, jaką popełniają.

A właśnie u samej bramy stoi staruszek — złamany we dwoje, zgarbiony, twarz zmarszczkami poorana, cały jakby szczypa wyschnięty — trzęsącą się dłoń wyciąga i drżącym powiada głosem:

„Nie świątkujecie dzisiaj — nic nie straciliście z zarobku, dajcie groszy parę staremu koledze w dzień uroczysty“.

Grosz za groszem w nędzną dłoń się wsuwa — jakby w pokutę — bo to obraz łaski pańskiej przed ich oczyma.

Lat wiele niósł swą pracę, lat wiele pobożnie żył — uczciwie pracował — a dziś ma tylko wnuczkę do wychowania, ale chować ją może żebranym chlebem — bo za stary do pracy, „ma prawo“ dłoń wyciągać koło bramy fabryki.

I w niejednem oku łza zaświeciła wiele kołnierzy podniosło się, by twarz zakryć, bo ulicą idą ludzie — co wiedzą, że to święto robotnicze — a ci nie świętują.

* * *

Choć w tej fabryce i młoty i ludzie bezduszni i piły nie spoczywały - to jednak święto robotnicze głębiej się w ich myśl wryło - jak u tych co świętowali. Kajdany, których nie czuli — dźwięczały dzień cały i przypominały niewolnikom własnej winy — że pokora niewoli jest matką — a córką niezgody i sobkowstwa.

Nadejdzie rychło dzień, gdzie nie będzie niezgody — ani tchórzowstwa — odważni a zgodni zdobędą prawo, wolność i byt. Odwagi doda im święto nasze — a zgodę wytworzym, zapalając wszędzie światło prawdy — światło płonące ogniem szczerego przekonania, że tylko w socyalnej demokracyi zbratanie ludu!

K. Nacher.



Wychodźcy.

— Matuleńko, mówcież że mi,
Dokąd idziem po tej ziemi?
Noc posępna, grzmi ulewa,
Wicher z hukiem łamie drzewa,
A na czarnem niebie w dali
Kilka krwawych łun się pali...
Ach, jak tęskno tu, mateczko,
Za chateczką, za wioseczką,
Gdzie szumiały złote kłosy,
Gdzie dzwoniły ptaszęt głosy,
Gdzie żniwiarzy tłum wesoły
Zbierał plony do stodoły,
Gdzie twarz każda tak radosna
Niby kwiatek, niby wiosna...
I my świat ów pożegnali,
By tak błąkać się tu w dali? —

— Nie płacz, nie płacz, ma dzieweczko,
Za wioseczką, za chateczką!
Nie płacz, mała!... Nasze pole
Zarastają dziś kąkole.
Prawie każdy człowiek z wioski
Siał nadzieję, zbierał troski!
Ojciec przodem ruszył, dziecię,
By zarobek znaleść w świecie,
Z płaczem drogą chatę rzucił,
Poszedł, poszedł i nie wrócił...
Nie tak dziko wiatr wygrywa,
Nie tak groźna noc burzliwa,
Nie tak straszno, nie tak ciemno —
Głodna jesteś? O, pójdź ze mną!
Tam, gdzie huczy grzmot ze stali,
Tam, gdzie jasność bije w dali,
Tam, gdzie łuny krwawią nieba
Idziem, dziecko, szukać chleba!

— Matko, matko! Tam daleko
Łza nie zaschnie pod powieką...
Słychać jakiś huk ponury,
Jakieś wrzaski śród wichury,
Dołem ciemność a z wysoka
Łuna niby krwi posoka,
Jakiś łoskot, poświst wrogi —
Och, zawróćmy, matko, z drogi! —

— Nie czas, nie czas, moja mała,
Gdy nas dola tu zagnała!
Grzmią maszyny dookoła,
Klątwą świecą ludzkie czoła,
Czarne dymy błękit mroczą
I strudzeni bez sił kroczą —
Źle nam, źle nam na tym świecie,
Lecz żyć trzeba moje dziecię! —

— Matuleńko, mówcie tedy,
Czemu to tam tyle biedy?
Czemu klątwą świecą czoła?
Czemu tak nam źle dokoła?
Czemu we łzach ludzie biedni
Zdobywają chleb powszedni?
Czemu innym na tej ziemi
Nigdy tak się świat nie ściemi?
Czemu Pan Bóg dla swych dzieci
Jednej doli nie roznieci?
Czemu dziatwie najwierniejszej
Daje żywot najciemniejszy
A gdy na jej łzy spoziera,
Tylko liczy, nie ociera?...
Matko, czemu nie żal Jemu
Tak żyć kazać... Czemu? Czemu?...

Tak szeptało drobne dziecko
Dążąc błonią mazowiecką
Obok biednej swej macierzy,
Gdzie fabrycznych świat rubieży
Tytanicznych łun pożogą
Pośród nocy świecił wrogo.
Matka milcząc przodem kroczy
Tylko chustą kryje oczy —
Lecz szumiały głucho drzewa,
Szumiał wicher i ulewa,
Noc szumiała mazowiecka
Zapytaniem tego dziecka.



Kilka słów o prawach politycznych kobiet.

W dniu dzisiejszym, w dniu, w którym cały zsolidaryzowany proletaryat uświadamia sobie wspólność swych interesów, zacieśnia i wzmacnia węzły międzynarodowego braterstwa swego, w dniu tym łączą i kobiety słabe swe głosy z ogólnym chórem żądań proletaryatu zjednoczonego.

Wiadomą jest rzeczą, że w walce o ekonomiczną wolność klasy robotniczej — są prawa polityczne bronią pierwszorzędnej wagi, dlatego też dostarczenie jej, pozbawionemu tej broni, proletaryatowi w Austryi — stało się głównem zadaniem socyalnej demokracyi, która w programie swym żądania te stawia. Przekonania tego socyalnej demokracyi nie podzielają jednak ci, którzy widzą się, przez urzeczywistnienie tych żądań, w władzy swej zagrożeni. Gdy jednak, myśl o zrównaniu w prawach politycznych wszystkich klas społecznych, strachem ich przejmuje — to żądanie równouprawnienia pod tym względem i kobiet wydaje im się wprost monstrualnem. A jednak żądania kobiet z naturalnego biegu faktów społecznych wynikły — a jako takie nie dadzą się usunąć! Kobiety doszły już do świadomości, że również w wielu sprawach rozstrzygać mają prawo!

Za przyznaniem kobietom praw obieralności i głosowania — powiada Bebel — przemawiają wszystkie te same względy, które przytaczać się zwykło na poparcie tychże żądań mężczyzn. Z chwilą, kiedy miliony kobiet pracuje i samodzielnie na swoje, a często i rodziny swej utrzymanie zarabia — odpada główny zarzut im czyniony, jakoby nie były siłami produktywnemi w społeczeństwie. Udział kobiet w rozmaitych zawodach przemysłowych, w handlu, drobnym przemyśle, na polu nauki, sztuki, wychowania publicznego — z każdym zwiększa się rokiem. Wszystkie zaś te kobiety wielce interesują się rozmaitymi zmianami, reformami w państwie, nieobojętne są im też wszelkie sprawy polityczne, od których pokój lub wojna, praca lub brak zarobku zawisły. Nawet kobiety zamężne śledzą to wszystko z zainteresowaniem, gdyż od dobrej woli, inteligencyi i siły ich mężów — dobro rodziny całej zależy. Pamiętać też należy, że jest kilka milionów kobiet, które same bez męskiej pomocy o byt walczyć muszą. Podatki pośrednie zarówno kobiet jak i mężczyzn dotyczą; gdy zaś kobieta popełni przestępstwo — sądzoną bywa według tych samych praw, co mężczyzna. Ma więc te same obowiązki, dlaczegożby więc tych samych praw mieć nie mogła? W wojsku zaś nie mają obowiązku służyć kobiety, gdyż za to rodzą i wychowują przyszłych żołnierzy, a przez to więcej narażają życie swe i zdrowie, niż w służbie wojskowej żołnierze.

W czasach dawniejszych — powiada ten sam autor — posiadały kobiety równe z mężczyznami prawa. Rozwój jednak własności prywatnej i wynikłe stąd panowanie mężczyzny pozbawiły je tych praw. Stosunki nowoczesne zmieniły znowu stanowisko społeczne kobiety: z poddanej staje się ona towarzyszką mężczyzny, a to nie- [illegible] słuchał je, [illegible] praw powątpliwie wpływa i na rozwój jej [illegible] przelitycznych.

W Stanach Zjednoczonych, w Anglii, Szwecyi, Francyi, a nawet w Niemczech posiadają kobiety już pewne prawa polityczne — a chociaż wiele jeszcze pozostaje do wywalczenia, zawsze jednak i to więcej już jest, niżby spokojny nasz filister przypuszczał.

W Austryi kobiety żadnych praw politycznych nie mają — lecz jest to tylko kwestyą czasu, kiedy żądania ich zaspokojonemi będą; socyalna demokracya jedyną jest partyą, która je w swoim stawia programie. Pamiętać o tem winny kobiety, jak wogóle o tem, że sprawa ich z ogólnemi ekonomiczno-społecznemi sprawami się wiąże, że należy pochwycić związek własnej sprawy z ogólniejszymi interesami ludzkości.

Eliem.



Wśród ruin.



W chwilach, kiedy jakieś społeczeństwo chyli się do upadku, kiedy naprężenie jego stosunków ekonomicznych doszło do najwyższego stopnia, kiedy choroba moralna na wskróś je ogarnęła, wszystko co w niem było dobrego i pięknego, objęła zgnilizna, a zarodek nowego ustroju rozwija się w jego łonie, żyć poczyna silnem tętnem zdrowego organizmu i rozsadza spróchniałą, rozpadającą się, starą budowę społeczną, — w takich chwilach życie umysłowe szczególny przybiera charakter. Z jednej strony śmiałe głosy pewnych zwycięstwa bojowników, — z drugiej pełne niepokoju i zwątpienia jeremiady. Żyjemy właśnie w takich czasach.

„Chciałbym tu szczególnie zaznaczyć“, pisał przed pół wiekiem niemiecki poeta Heine — „jak nieobliczalnie korzystną jest dla komunizmu ta okoliczność, że wróg, którego zwalcza, mimo całej swej potęgi jednak sam w sobie żadnego moralnego oparcia nie posiada. Dzisiejsze społeczeństwo broni się jedynie z płytkiej konieczności, bez wiary w słuszność swej sprawy, ba nawet bez szacunku przed sobą samem, zupełnie jak owo starsze społeczeństwo, którego zgniła budowa runęła, gdy przyszedł syn cieśli“.

Łono kapitalistycznego społeczeństwa trawią sprzeczności nie dające się dłużej zakrywać frazesami, — sprzeczności klasowe pociągające za sobą cały szereg innych. Dobijając się władzy, zburzyła burżuazya wszystkie bogi, dobijając się mienia, wszelką moralność. Obłudą stały się jej związki rodzinne, kłamstwem prawa społeczne, hipokryzyą przekonania religijne. Inteligentniejsze jednostki z pośród niej doszły do wniosku, że ten stan rzeczy nie da się utrzymać. Nie mogąc się jednak wznieść ponad ciasny widnokrąg umysłowy swej klasy, nie mogąc

się oduczyć patrzeć jej oczyma, myśleć jej wyobrażeniami, nie poznały one, że przyszłość należy do proletaryatu, że jedynie walcząc za jego ideały, można się przystosować do nowych warunków, uratować własną przyszłość. Do tego przyczynia się w wysokim stopniu zwyrodnienie fizyczne. Nieograniczone używanie klas rządzących wycieńcza siły ich członków, rozstraja ich nerwy, odbiera im energią, pozbawia ich siły woli. A dużo trzeba mieć energii i silne nerwy, by wyrwać się z błogiej nieczynności i podążyć na pole walki. Stąd to pochodzi, że ludzie, o których mówi[illegible] mogą[illegible] przed nim potężne [illegible] nie [illegible] święta majowego — wid[illegible] [illegible] do wrót prawdziwej nauki, która jest po naszej stronie, i wskazuje środki walki z dzisiejszym systemem, podobni są do zbłąkanych podróżnych, szukających drogi po omacku w ciemnościach, lub do tonących, chwytających się źdźbła słomy jakby deski ratunku. Gorączkowość, niepewność, niepokój i dziwaczność cechują te rozpaczliwe usiłowania. Każdy w nich wynajduje coraz to nową jakąś przyczynę społecznego rozstroju i nowe jakieś — o niezawodne! — na nią lekarstwo. Albo też i nie szuka nawet lekarstwa. Tych ostatnich jest bardzo wiele.

Nawet na wyszukanie jakiejś drogi i na usiłowanie wydostania się po niej, potrzebna jest pewna ilość energii. Ludzie, którym i na tej zbywa, twierdzą, że złe tkwi nie w urządzeniach społecznych, które zmienić można, lecz w niezmiennych prawach przyrody, które człowieka przypadkiem, bez celu rzuciły na ten padół płaczu i na wieczne skazały go cierpienia; nie ma więc żadnej innej drogi wyjścia jak tylko powrót do nicości; lepiej zatem nie żyć niźli żyć. Ludzie, którym taka teorya służy za wymówkę od pracy społecznej, zowią się ***pesymistami.***

Inni znów wahają się ciągle, czy warto żyć, czy nie, i wahając się w ten sposób całe życie, nie mogą się zdobyć na jakikolwiek krok, czyli tak samo jak i pesymiści nic nie robią. Nazywają ich powszechnie ***hamletami.***

Do trzeciej wreszcie kategoryi zaliczylibym tych myślicieli burżuazyjnych, którzy odważają się myśleć o jakiejkolwiek przyszłości. Nie stanowią oni jednak jednej szkoły. Rozumowanie ich zależy od ich indywidualności. Panują tu nader liczne kierunki stykające się w jednym punkcie, a różniące w innym tak, że trudno między nimi stałe poprowadzić granice. Weźmiemy tu pod uwagę najważniejsze z tych prądów.

Otóż jeden z nich przedstawia się w następujący sposób. Jakeśmy już wspomnieli burżuazya w walce z feudalizmem zburzyła wszelką wiarę, ogołociła świat z wszelkiej fantazyi, wszystkie zjawiska przyrodnicze i społeczne wytłómaczyła rozumowo. Gdy atoli rozwój społeczny przybrał groźny charakter, gdy stare społeczeństwo zaczęło się w zatrważający sposób rozkładać, wtedy pewna ilość słabych jednostek, nie mogąc znaleść oparcia w sobie, w świecie przyrodzonym, poczęła go szukać po za nim. Ale trudno cofnąć to, co wieki zrobiły, nie można wyrwać ze swego umysłu wszystkich zdobyczy kultury, — dla tego te jednostki nie zdołały się cofnąć do dawnej naiwnej wiary, lecz stworzyły sobie nieco zmienioną wiarę w świat nadprzyrodzony. Szukają one ukojenia we wszystkiem tajemniczem, starają się więc upatrywać wszędzie tajemniczość i zjawiska nadprzyrodzone. Są to tak zwani *spirytyści*, okultyści, mistycy i jak tam się jeszcze nazywają. Są to dusze schorzałe tak, jak pesymiści są duszami znużonemi. Wiele z nich skończy na fanatycznym katolicyzmie.

Drudzy zaś poza rzeczywistością, ale w samem społeczeństwie widzą zaród lepszej przyszłości i w tem się zgadzają z nami. Ale rozumowanie ich, a zatem i ich wnioski są zgoła różne od naszych. Zaznaczyliśmy na początku, że wszystkie te żywioły inteligencyi burżuazyjnej nie zdołały wyjść poza burżuazyjną sferę myślenia. I ta grupa, którą obecnie omawiamy, ulega temu samemu losowi. Ze stanowiska burżuazyi społeczeństwo przedstawia się jako zbiór jednostek walczących między sobą o byt, o szczęście. I dziś rzeczywiście panuje taka „walka wszystkich przeciw wszystkim“, objawiająca się w konkurencyi, wojnach, walkach klasowych itd. Na każdym kroku spotykamy tę walkę wiodącą ludzi do zatracenia w sobie wszystkich uczuć i zasad moralnych. Temu stanowi rzeczy i wypływającemu z niego świat[illegible] [illegible] — a jednak [illegible]poglądowi przeciwstawia socyalizm braterstwo wszystkich ludzi, w niem dla wszystkich upatrując szczęście. Burżuazyjni jednak ideologowie nie mogą sobie wyobrazić ustania tej walki między ludźmi, nie mogą wyjść poza obręb pojęcia społecznej walki o byt. A więc szczęścia nie upatrują w zniesieniu tej walki, jak my, ale w doprowadzeniu jej do ostateczności. Chwyciwszy się pięknego frazesu o wolności, twierdzą, że człowiek wtedy będzie szczęśliwym, gdy będzie mógł robić, co zechce; dzisiaj jest on krępowany przez wszystkie urządzenia społeczne, które należy znieść zupełnie, by każda jednostka była w stanie zdobywać sobie wszystko, na co jej tylko siły fizyczne i umysłowe starczą. Pomijając już niemożliwość urzeczywistnienia tej fantazyi pozbawionej wszelkich podstaw naukowych, musi każdy myślący człowiek przyznać, że gdyby się udało wprowadzić taką wolność, to w tej „walce wszystkich przeciwko wszystkim“ zwyciężyliby mocniejsi i przebieglejsi słabszych i mniej przebiegłych i powstałoby znowu społeczeństwo klasowe takie, jakie dziś istnieje. Tego jednak nie widzą wyznawcy przedstawionej tu teoryi. Niektórzy z nich usiłują urzeczywistnić to i ci nazywają się ***anarchistami.*** Inni zaś, którzy niemają odwagi robić coś w tym kierunku, lecz tylko dużo krzyczą i piszą, nazywają się skromniej nieco — ***indywidualistami.*** Niektórzy z tych ostatnich wypierają się nawet pokrewieństwa duchowego z anarchistami, które się jednak nie da zaprzeczyć. Nie wszyscy z nich jednakowo sobie tę przyszłość ludzkości wyobrażają, godzą się jednak na te zasady, któreśmy tu przedstawili.

Przedstawione tu kierunki filozoficzne i społeczne opanowały współczesną sztukę burżuazyjną. Płacząc się ze sobą niejasno wytworzyły w niej dziwaczny, chorobliwy kierunek zwany ***dekadencyą.*** W malarstwie przedstawia on się jako zwrot do mistycznego, symbolistycznego sposobu tworzenia prerafaelitów (średniowiecznych katolickich malarzy), jakoteż w dążeniu do podniecania nerwów, działania na fantazyą i wywoływania odpowiedniego nastroju przez silne kontrasty barw. Jestto tak zwany ***impresyonizm.*** W muzyce przejawia się ten prąd w utworach W a g n e r a i jego zwolenników.

Najciekawiej przedstawia się ten kierunek w literaturze. Widzimy tu mięszaninę wszystkich wymienionych prądów zastosowanych na najdziksze sposoby. Rezultatem tego jest mistyczna, chorobliwa, denerwująca poezya, zwana ***dekadentyczną*** lub ***symboliczną.***

Tak wygląda dzisiejsze życie umysłowe burżuazyi. Są to ostatnie podrygi konającego na uwiąd starczy organizmu.

Ale wśród tych ruin rozwija się nowe życie, niby bluszcz, który coraz silniej oplata rozsypujące się kamienie, coraz głębiej pomiędzy nie zapuszcza korzenie, coraz bardziej je rozsadza. — Proletaryat walczy teraz o swe prawa, więc sfera duchowej jego działalności jest odmienna od burżuazyjnej. Przeważa w niej nauka, z niej bowiem czerpie on swą broń. Sztuka, ma się rozumieć, nie może u niego na razie kwitnąć. „Wśród szczęku broni milkną muzy“. Obecna poezya proletaryatu, to pieśń bojowa. Sztuka ludowa rozwinie się dopiero, gdy proletaryat zwycięży, gdy już nie będzie skazany na walkę o chleb codzienny i o prawa swoje. Ale już dziś widać zarody młodej sztuki ludowej tchnącej zdrowiem i siłą, stanowiącej rażący a korzystny dla niej kontrast do płodów schorzałej i zboczonej fantazyi dekadentów. *H. S.*

MYŚLI.

Niechaj kilku filozoficznych lokajów kuje najdelikatniejsze wywody, aby nam udowodnić, że miliony ludzi stworzonymi są na zwierzęta juczne kilku tysięcy uprzywilejowanych rycerzy; przecież nie przekonają nas o tem tak długo, jak długo, mówiąc z Voltairem, nie udowodnią, że tamci przyszli na świat z siodłami na grzbiecie, a ci z ostrogami u nóg. *Heine.*

Pan Majster o 1. Maja.

(Niby monolog).

— Proszę mi też powiedzieć, co wam przyjdzie z tego 1. Maja? Czy któremu choćby dwa centy do kieszeni wpadną, czy co? Gdzie tam, tylko strata i strata. Nie będziesz jeden z drugim robił, nic nie zarobisz; a do tego stracisz, bo musisz kupić odznakę, jednodniówkę i Bóg wie co jeszcze — no a przecież »manną bożą« żyć także nie będziesz, z tym na szklankę piwa, z tym na wódkę pójdziesz i oto masz zysk...

— Mało wam świąt jeszcze!... Trzeba wam więcej? No, proszę! Widać za dobrze wam płacą, za dużo macie pieniędzy... Żeby was bieda przycisnęła — tobyście chętnie wszystkie święta pokasowali, a nic dopiero robili sobie jakieś swoje własne... A co to znaczy swoje, własne święto? U mnie święto jak mam pieniądze — a wy co macie, popatrzno się każdy na siebie: surduta porządnego żaden na grzbiecie nie masz, dzieci gołe i bose — a tobie się chce święta?

— A czy to święto ustanowił może ojciec święty, albo kto? Gdzietam! Ot! jakieś próżniaki, co im się robić nie chce. Żeby to było co dobrego, toby nie zakazywał tego święta, ani ksiądz z ambony, ani pan minister, co stało w gazecie napisane. Ale co wam o tem gadać, czy był który u jezuitów na rekolekcyach, czy zapisany do »lekkiej śmierci«? — gdzietam, do »Siły« — do socyalistów, w to wam graj! A skaranie boskie!

Zkąd to się wszystko wzięło? Jak ja był jeszcze czeladnikiem, to nie tak było jak dzisiaj, ale całkiem inaczej i było lepiej. Majster mój kupował kamienicę za kamienicą — a teraz co?! Żeby człowiek od rana do nocy za interesami nie chodził — temu i owemu w gardło nie nalał — tobyście z głodu pozdychali... Oj, było inaczej, całkiem inaczej! Czeladź spała w warstacie, jadła u majstra, a przyszła niedziela, majster prowadził wszystkich rano na mszę, potem na nieszpór, dał po »cwancygierze«, albo półtora i spokój, zgoda. Robota szła także inaczej. Piąta rano, już każdy stał przy warstacie, pracował cały boży dzień ochoczo, pilnie, aż do dziewiątej lub dziesiątej wieczór i czuł, że pracą Boga chwali, wiedział, że próżniactwo ciężkim jest grzechem. A teraz, pożal się Boże! Każdy z was chciałby żyć jak konsylarz. O szóstej to mu za rano do roboty — do ósmej za długo robić, a do tego chce iść do domu na obiad? Osiem godzin chcesz robić? No, proszę!

A cóżbyś jeden z drugim zarobił? Teraz robisz dwanaście, trzynaście godzin, zarabiasz reński, albo reński dwadzieścia; będziesz robił ośm godzin, zarobisz pięć albo sześć szóstek. Z czegoż będziesz żył? A żona, a dzieci — bo to każdy z was zaraz chce mieć swoją żonę i swoje dzieci — chyba pójdą na żebry. Im dłużej robisz, tem więcej zarobisz, im mniej przez dzień próżnujesz, tem mniej się rozleniwiasz, a więcej gustu do roboty dostajesz i do szynku cię tak nie ciągnie, do pijatyki, do rozpusty, jak mówił ksiądz na kazaniu w niedzielę.

— Sam o sobie chcesz radzić? Chcesz chodzić na wybory radnych i posłów wybierać, — a może i posłem lub radnym zostać? A gdzież twoja głowa do tego? Czy ty płacisz podatek jaki? Zkąd nam do tego, patrz jeden z drugim, byś roboty nie fuszerował, byś materyału nie psuł, byś majstra słuchał, byś Boga nie obrażał — a zresztą nie potrzebujesz troszczyć się o nic, na to jest majster, są urzędnicy, są panowie, jest rząd. Abyś miał co zjeść, gdzie głowę położyć, uprane i załatane — będziesz szczęśliwy. Po co ci głowę zawracać sobie czem innem, po co ci się troszczyć, co do ciebie nie należy, tem, co ci tam kto nagaduje, aby ci grajcary z kieszeni wyciągać, aby cię roboty pozbawić, albo i do kryminału zaprowadzić. Z majstrem żyj w zgodzie, jego słuchaj, pilnie pracuj — będzie ci dobrze!

— Ja zawsze tak robiłem — i dobrze mi z tem. Doszedłem do lat, ożeniłem się, wziąłem za żonę 500 reńskich, a że tam przedtem było coś małego, to nic z byle kim, ale ze znaczną osobą, z synem wielkiego pana, u którego była w obowiązku, to co mi to szkodziło; małe umarło — a 500 papierków zostało.

— Otworzyłem warstat — ten pan nastręczył mi robotę, wziąłem zaraz czterech chłopaków, a teraz jestem pierwszym majstrem w mieście, mam poważanie u ludzi i daję wam dziewięciu kawałek chleba.

Tak niech każdy z was robi, a prędzej może dojść do wyborów, jak przez te głupie socyalistyczne awantury, przez zakazane przez księdza i ministra święta, przez wyklęte gazety „niby robotnicze“ itp. rzeczy, z których tylko djabłu uciecha — a dobrym ludziom zmartwienie.

Pewnie każdy z was dobrze mnie zrozumiał i pojął, że to całe świętowanie funta kłaków nie warte i pewnie każdy 1. Maja raniutko stanie do warstatu i jeszcze pilniej jak kiedyindziej będzie pracował? Nieprawdaż, że się nie mylę? Ze nikt z was nie będzie świętował — widzę po waszych minach, że tak, no powiedz Pukalski, że żaden z was się nie wyłączy?

— Ani jeden — odparł Pukalski — wszyscy będziemy świętować, bo to nasz obowiązek najświętszy i najpierwszy! My dla tego musimy to zrobić, bo »wy« sobie tego nie życzycie.

J. H.



Karol Marks — przyjacielem dzieci.



W wiedeńskim kalendarzu robotniczym na rok 1895 znajdujemy artykuł, który córka Karola Marksa, ulegając prośbom swoich przyjaciół w Austryi — przysłała. Tytuł jego jest Karol Marks, luźne kartki.

W artykule tym podniesiony jest nieznany nam dotąd, a nader sympatyczny, nader ujmujący rys charakteru Marksa — stosunek jego do dzieci. Rys ten rzuca promień tak miłego ciepła na całą postać poważanego przywódcy Międzynarodówki, iż budzi w czytającym niewypowiedzianie przyjemne uczucie. Dlatego też podajemy w tłómaczeniu odnośny ustęp z wyżej wzmiankowanego artykułu.

— W obcowaniu z dziećmi występowały w całej pełni najlepsze strony charakteru Marksa. Dzieci nie mogłyby wymarzyć sobie lepszego towarzysza. Przypominam sobie, że gdy miałam około trzech lat zwykł mię ojciec wysadzać na swoje ramiona, obnosić po ogrodzie i wplatać powój w moje ciemne kręcone włosy. Ojciec był dzielnym „koniem“; starsze moje rodzeństwo zaprzęgało go nieraz do krzesła, na którym siedzieli „pasażerowie“ i zmuszało do ciągnięcia „powozu“. Istotnie kilka rozdziałów „18 Brumaira“ napisał był Marks udając rączego konia swoich trojga dzieciaków, które za nim siedziały i poganiały go biczykami. Ja, ponieważ nie miałam rodzeństwa w swoim wieku, wolałam ojca jako wierzchowca. Na jego ramionach siedząc i zatapiając ręce w bujnej „grzywie“, która wtedy czarną jeszcze była i miejscami tylko w szare wpadała, kłusowałam najchętniej po małym naszym ogródku, albo po polach i łąkach.

Ojciec był nie tylko znakomitym koniem, był czemś więcej jeszcze: jedynym i wprost niedoścignionym bajarzem. Ciotki moje opowiadały mi nieraz, że ojciec dzieckiem będąc, tyranizował je okropnie, zmuszał do zbiegania kłusem z góry Marksa w Trewirze, a co gorsza do zjadania ciastek, które on sam brudnymi rękami z jeszcze brudniejszego ciasta sporządzał. One poddawały się wszystkiemu bez sprzeczek, bo Karol opowiadał im w nagrodę przecudne historye. Wiele, wiele lat później opowiadał historye dzieciom swoim. Siostrom moim (ja byłam wtedy jeszcze za małą), opowiadał bajki na przechadzce, a bajki te nie rozpadały się na rozdziały, ale na mile. „Oopowiedz jeszcze jedną milę“, prosiły dziewczęta. Co do mnie, to ze wszystkich cudownych historyj, jakie mi opowiadał lubiałam najlepiej bajkę o Jasiu Röckle. Ciągnęła się ona całymi miesiącami, gdyż była to długa, długa historya — bez końca. Jaś Röckle był czarownikiem, który miał skład z zabawkami i wiele, bardzo wiele długów. W jego składzie były bardzo piękne rzeczy; drewniani mężczyźni i kobiety, olbrzymy i karły, królowie i królowe, majstrowie i czeladnicy, czworonożne zwierzęta i ptaki, było ich tam tak wiele, jak w arce Noego; były ryby i stołki, powozy i pudełka najrozmaitszych wielkości Ale niestety! mimo, że Jaś był czarownikiem, nie mógł pozbyć się długów, musiał więc wszystkie swoje piękne rzeczy, kawałek po kawałku dyabłu sprzedawać. Po wielu, wielu strasznych przygodach powracały jednak wszystkie te rzeczy znowu kawałek po kawałku do składu Jasia. Niektóre z przygód, jakie przebywały, były przerażające i okropne, inne znowu śmieszne, a wszystkie one były opowiadane z niewyczerpanym zapasem wyobraźni i humoru“.

Dalej opowiada autorka, jak Marks z dziećmi swoimi czytywał, jak czytając uczył je myśleć i tłómaczył najpoważniejsze kwestye, jak z miną zupełnie seryo słuchał ich dziecinnych i naiwnych planów. Ona sama np. po przeczytaniu jakiejś historyi o podróżnikach morskich zwierzyła mu się, że chce się przebrać za chłopca i zostać „kapitanem okrętu“, Marks wysłuchał tego z całą powagą i poradził, aby trzymała tę rzecz w tajemnicy, póki wszystkie przygotowania nie będą gotowe. Oczywiście zanim wszystkie przygotowania były porobione, przeczytano inną książkę, a za nią przyszły i inne plany.

Marks mawiał często: „Chrześciaństwu wiele przebaczyć możemy, gdyż nauczyło nas ono miłości dla dzieci“.

»Mógł on rzeczywiście powiedzieć jak Chrystus: dopuśćcie do mnie maluczkich. Gdziekolwiek się ruszył, dokądkolwiek poszedł, wszędzie i zawsze ten człowiek rosłej i silnej postawy, o długich włosach, otoczony był gronem dzieci. Całkiem obce dzieci zatrzymywały go na ulicy. Przypominam sobie, jak dnia jednego zupełnie obcy, dziesięcioletni może chłopiec przystąpił do niego na ulicy mówiąc: »Swop Knives“ *), a gdy wytłumaczył, że »swop« w języku szkolnym znaczy „zamienić“, wyciągnęli obaj swoje scyzoryki i porównali je. Scyzoryk chłopca miał tylko jedno ostrze, scyzoryk Marksa dwa, ale były one bardzo tępe. Po krótkiej rozmowie zgodzono handel, zamieniono scyzoryki, a »obawę wzbudzający przewódca Międzynarodówki«, dopłacił jeszcze jednego penny **) za to, że scyzoryk jego był taki tępy«.

Dalej opowiada autorka, że wśród pracy nawet Marks otoczony był dziećmi swoimi, ciągle mu one przerywały, co chwila miały o co zapytać, lub o jakiem »ważnem« donieść odkryciu, słuchał je, opowiadał, ale żadnemu nigdy odczuć nie dał, że mu przeszkadza. »W tym czasie – mówi dalej — miałam niewzruszone przekonanie, że Abraham Linkoln (prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej) nie może obejść się bez moich rad. Pisywałam więc do niego długie listy, które ojciec miał czytać i nadawać. Po wielu, wielu latach pokazał mi te wszystkie listy, które tak go bawiły, że je przechowywał.

— — — — — — — — — — —

Tym, którzy oddają się badaniu, natury ludzkiej nie wyda się to dziwnem – kończy autorka — że człowiek będący takim, jak Marks nieugiętym bojownikiem mógł być równocześnie najłagodniejszym i najlepszym z ludzi. Zrozumieją oni, że dlatego umiał głęboko nienawidzieć, bo i szczerze kochać umiał, że ostre jego pióro dlatego mogło do piekła wtrącać, bo umysł jego był łagodny i współczujący, że jeżeli sarkastyczne usposobienie jego palić umiało, to, to samo usposobienie było balsamem kojącym dla tych, którzy cierpieli nędzę i ucisk.



Brzask nowej zorzy.

(Słowa do ryciny na str. ostatniej).

Noc była ciemna. Wśród nocy cieni,
Głos się rozlega. Jako grzmotu siła
Jak fali odgłos, kiedy się pieni,
Jego potęga. Wnet obudziła
Śpiące i dotąd nieczułe ludy,
Wstają, a głos, jakby płonął z nieba,
Woła doń: »Jakie cię w życiu trudy
Żywią — czy wśród potu zdobywasz chleba,
Czy cię na polu poty zlewają;
Czyli zgłodniały obracasz koło,
Lub ducha twory chleb nędzny dają
Troska cię gniecie, radli twe czoło
I nędzy strasznej gniotą kajdany
A od kolebki tylko niedola,
Twój druh jedyny, najlepiej znany,
Ci towarzyszy — czy żyzne pola
Chaty rodzinnej próg otaczały,
Czy skwar pustyni — lub mróz północy.
Czy też śnieżyste karpackie skały —
Zbudź się człowiecze, bądź pełen mocy!
Spojrzyj! — jak tu wspaniale w około!
Popatrz na skarby bogate świata!
Dumnie wznieś w górę schylone czoło,
Zrzuć z siebie kajdan co cię oplata,
To twojej pracy przecież są płody,
Poczuj się wolnym — wierz niezachwianie
Wszelakie ludy i wszelkie narody
Braćmi są wszyscy w roboczym stanie!

Wszyscy słuchają na całym świecie
I wraz z poznaniem zaraz kajdany
Z nich opadają. Tylko kobiecie
Znaczenie pracy wcale nieznane,
Ona w niewoli żywot swój wlecze,
Zdobyć jej trzeba prawa człowiecze.

I coraz dalej głos się rozchodzi,
Wraz z falą wiatru wszędzie dociera,
A dokąd dojdzie, światło wnet rodzi
I nocy cienie zewsząd wypiera;
Wnet koniec ciemni — brzask nowy świta
Jutrzenkę jasną lud wolny wita!

K. Nacher.

*) Czyta się suup najfs. Knives znaczy po angielsku nóż, scyzoryk.
**) około $2^1/_2$ centa.


Proletaryusze wszystkich
KAPITAŁ